

Dziki
czary

Rebecca Beyer



Dzikie czary



Roślinne zaklęcia, rytuały
i ziołowe mikstury dla
uzdrowienia, miłości,
dobrobytu, ochrony
i samoleczenia



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro

REDAKCJA: Magdalena Kuźmiuk
SKŁAD: Krzysztof Nierodziński
PROJEKT OKŁADKI: Krzysztof Nierodziński
TŁUMACZENIE: Agata Parafajczuk

Wydanie I
Białystok 2023
ISBN 978-83-8301-367-1

Tytuł oryginału: *Wild Witchcraft: Folk Herbalism, Garden Magic,
and Foraging for Spells, Rituals, and Remedies*

Copyright © 2022 by Rebecca Beyer
First published in 2022 by Simon Element, a division of Simon & Schuster, Inc.

© Copyright for the Polish edition by Studio Astropsychologii, Białystok 2022
All rights reserved, including the right of reproduction in whole or in part in any form.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Bez uprzedniej pisemnej zgody wydawcy żadna część tej książki nie może być powielana w jakimkolwiek procesie mechanicznym, fotograficznym lub elektronicznym ani w formie nagrania fonograficznego. Nie może też być przechowywana w systemie wyszukiwania, przesyłana lub w inny sposób kopiowana do użytku publicznego lub prywatnego – w inny sposób niż „dozwolony użytek” obejmujący krótkie cytaty zawarte w artykułach i recenzjach.

Książka ta zawiera informacje dotyczące zdrowia. Wydawca dołożył wszelkich starań, aby były one pełne, rzetelne i zgodne z aktualnym stanem wiedzy w momencie publikacji. Tym niemniej nie powinny one zastępować porady lekarza lub dietetyka, ani też być traktowane jako konsultacja medyczna lub inna. Jeśli podejrzewasz u siebie problemy zdrowotne lub wiesz o nich, powinieneś koniecznie skonsultować się z lekarzem, zanim samodzielnie rozpoczniesz jakikolwiek program poprawy zdrowia. Wydawca ani Autor nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za jakiegokolwiek negatywne skutki dla zdrowia, mogące wystąpić w wyniku stosowania zaprezentowanych w książce metod.



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku.
www.facebook.com/Wydawnictwo.Studio.Astropsychologii



STUDIO
ASTROPSYCHOLOGII
jeszcze lepsze jutro

15-762 Białystok
ul. Antoniuk Fabr. 55/24
85 662 92 67 – redakcja
85 654 78 06 – sekretariat
85 653 13 03 – dział handlowy – hurt
85 654 78 35 – www.talizman.pl – detal
strona wydawnictwa: www.studioastro.pl

Więcej informacji znajdziesz na portalu www.psychotronika.pl

PRINTED IN POLAND

Tę książkę dedykuję wszystkim, których wiedza otworzyła przede mną nową drogę. Przede wszystkim dziękuję wszystkim tubylczym i czarnym ludom Appalachów oraz klasie pracującej zamieszkującej te ziemie tak dziś, jak i przed wiekami, których dziedzictwo umożliwiło mi nawiązanie pełnej miłości relacji z roślinami.

Spis treści

Wstęp	9
-----------------	---

Część pierwsza – Dziedzictwo

Historia czarodziejstwa

19

Pradawna medycyna – krótka historia zachodniej herbalistyki	20
Narodziny Wiedźmy	23
Historia czarodziejstwa na linii czasu	25
Krótką historią ludowych uzdrowicieli w Ameryce	30
Herbalistyka dziś – po co tworzyć relacje z roślinami?	34

Część druga – Związek

Uprawianie własnych magicznych i leczniczych roślin

49

Magiczny ogród – uprawa ziemi	50
Jak łatwo wyhodować magiczne i lecznicze zioła	71
Zatruty ogród	101
Zbiory – podstawy przetwórstwa i przechowywania	120

Część trzecia – Zbiory magicznych i leczniczych ziół
Podstawy zbieractwa dla dzikiej wiedźmy

123

Dbanie o dziki ogród – jak chronić zioła	133
Powszechnie występujące zioła	136

Część czwarta
remedia, zaklęcia, rytuały i koło roku

177

Podstawy tradycyjnego lecznictwa	178
Koło roku – magiczna podróż przez pory roku	184
<i>Przesilenie zimowe (Yule)</i>	184
<i>Święto Matki Boskiej Gromniczej (Imbolc) 1–2 lutego</i>	193
<i>Równonoc wiosenna (Ostara)</i>	200
<i>Beltane 1 maja</i>	214
<i>Przesilenie letnie</i>	219
<i>Lammas/Lughnasadh 1 sierpnia</i>	225
<i>Równonoc jesienna (Mabon)</i>	233
<i>Samhain</i>	239
Podsumowanie	249
Podziękowania	251
Przypisy	253
O Autorce	265



Wstęp

Mam na imię Rebecca i jestem profesjonalną wiedźmą – zbieraczką. Chciałabym móc twierdzić, że sama się tak nazwałam, ale to nieprawda. To miano zostało mi nadane w trakcie wywiadu, którego udzielałam kilka lat temu i tak mnie ono zachwycało, że stale go teraz używam, ponieważ dokładnie mnie opisuje.

Co sprawia, że jestem profesjonalistką? No cóż, zawodowo uczę zbieractwa dzikich roślin i grzybów, tradycyjnej herbalistyki, czarodziejstwa i praktyk starożytnych ludów Appalachów. Oczywiście, to nie jedyne słowa, dzięki którym definiuję, co robię, ale właśnie one najszybciej i najłatwiej przekazują, czym jest moja pokręcona profesja (i obsesja). Czasem ktoś zmarszczy brew, ale zazwyczaj ludzkie twarze rozjaśnia uśmiech, kiedy tylko słyszą, czym się zajmuję.

Gdybyś zapytał mnie, kim chcę być, kiedy byłam dzieckiem, powiedziałabym, że rolnikiem. Kiedy miałam cztery lata, znałam tylko to słowo na opisanie człowieka, który spędza większość czasu na dworze i może sprawić, że ziemia obrodzi dzięki pracy własnych rąk. Kiedy skończyłam dwanaście lat, wiedziałam już więcej – chciałam być wiedźmą.

Do osiemnastego roku życia cały czas się przeprowadzałam. Urodziłam się w 1987 roku w Pittsburgh w Pensylwanii, ale mieszkałam tam tylko kilka miesięcy. Później moja rodzina przeniosła się do Kalifornii, a następnie ni stąd, ni z owąd do New Jersey. I to właśnie tutaj, w miejscu gdzie niemal nie ma już dzikiej przyrody, po raz pierwszy spotkałam prawdziwą wiedźmę.

Wychowałam się w kulturze unitaryzmu, tak jak moja matka i babka przede mną. Chodziłam do unitarianistycznego kościoła w zalesionej części Princeton. I to tutaj po raz pierwszy usłyszałam o pogaństwie i czarodziejstwie. Wiele z takich kościołów pozostaje otwartych na pogan, i na moje szczęście, ten też taki był.

Moja nauczycielka ze szkółki niedzielnej była wiccanką. Kiedy po raz pierwszy powiedziała nam, że jest prawdziwą wiedźmą, poczułam się, jakbym miała do czynienia z kimś sławnym. Wyglądała dokładnie tak, jak wszyscy wyobrażają sobie czarodziejki – miała długie, czarne włosy do pasa, przeplatane nitkami siwizny, pełną figurę i przepiękne ciemne oczy. W siódmej klasie skupiliśmy się na odkrywaniu, czym jest nasza wiara i ona także podzieliła się z nami swoimi przekonaniem.

Kiedyś zobaczyłam ją na parkingu, rozrzucającą chlebowe ciasto. Miałam poczucie, że robi coś bardzo ważnego (i bardzo dziwnego), więc podeszłam do niej i zapytałam, po co chodzi w kółko i rzuca na ziemię ciasto. Powiedziała mi, że to ofiara dla duchów natury związanych z żywiołami i czterema kierunkami. Obserwowałam ją zafascynowana. Od tej pory wiedziałam, że tego właśnie chcę.

Zwierzyłam się jej, że jestem bardzo ciekawa tego, co robi. Wzięła małą, żółtą karteczkę i zapisała na niej tytuły kilku książek. Wzięłam papierek do domu, jakbym dostała najwspanialszy prezent. Kiedy jesteśmy młodzi, chcemy czuć się wyróżnieni.



A ja nigdy nie czułam się tak, jak wtedy, kiedy zaciskałam palce wokół kawałka żółtej kartki.

Kiedy miałam dwanaście lat, bardzo dużo czytałam. Moja mama miała tylko jedną zasadę – musiała zerknąć na to, co chcę czytać, ale poza tym nie miałam żadnych ograniczeń. Poprosiłam ją więc o tytuły, które zapisała moja nauczycielka. Samą karteczkę schowałam pomiędzy stronami pamiętnika, jakby w tym żółtym świstu zaklęta była jakaś magia. Na początku mama była zdziwiona. Poprosiła mnie, żebym najpierw sprawdziła w słowniku znaczenie słowa „poganin”. Znalazłam dwa wyjaśnienia – „człowiek wierzący w wielu bogów (jak w starożytnym Rzymie)” i, niestety, „ktoś, kto nie wyznaje żadnej religii i oddaje się przyjemnościom ciała oraz potrzebom materialnym; osoba niereligijna, hedonistyczna”.

Byłam rozczarowana. Słownik mnie zawiódł. Poprosiłam więc mamę, żeby w – dopiero co raczkującym – internecie poszukała znaczenia słowa „Wicca”. Przeczytała tam o oddawaniu czci naturze i zdecydowała, że mogę przeczytać trzy książki polecane przez moją nauczycielkę. Tym sposobem, w wieku dwunastu lat rozpoczęłam swoją praktykę.

Mieszkaliśmy wtedy na małej fermie w Hopewell w New Jersey i do dzisiejszego dnia wspominam to miejsce z nostalgią oraz rozrzewnieniem. I to pomimo faktu, że w szkole dzieci stałe się ze mnie wyśmiewały, bo cały czas nosiłam ze sobą książki o czarodziejstwie (i, bądźmy szczerzy, byłam dość dziwna). Spędzałam większość czasu na zewnątrz, jeżdżąc konno lub mówiąc (albo śpiewając, chociaż mocno fałszowałam) do naszych trzech kóz, stada kaczek i kur. Uwielbiałam przesiadywać w małym lasku otaczającym nasz dom. To właśnie tam zaczęłam odczuwać tęsknotę, jakby gdzieś ktoś na mnie czekał, a także jakbym i ja chciała do niego iść.

Kiedy pochłonęłam już książki polecane mi przez moją nauczycielkę, ta tęsknota zaczęła się krystalizować. Robiłam notatki ze wszystkiego na temat magii, co tylko mogłam zdobyć. Na moje szczęście miałam bardzo otwartych rodziców, którzy nie zabraniali mi się uczyć. Kiedy miałam czternaście lat, przenieśliśmy się do północnego New Jersey.

Byłam zdruzgotana. Przeprowadzka na przedmieścia Nowego Jorku była dla mnie naprawdę szokująca. Starłam się odnaleźć magię, gdzie tylko mogłam. Chodziłam na długie spacery z naszym dobermanem, Rockym. Eksplorowałam parki i zalesione miejsca wokół naszego domu w nadziei, że gdzieś odnajdę tę iskrę, która zawsze czekała na mnie między drzewami otaczającymi naszą farmę, ale tutaj było inaczej. Przynajmniej było jednak chociaż trochę zielono.

Kiedy wyjechałam do college'u znajdującego się głęboko w lasach stanu Nowy Jork, przekonałam się, jakie może być życie, kiedy możesz być wiedźmą przez cały rok, kiedy możesz celebrować wszystkie święta. Dołączyłam do klubu nazwanego The Circle (Kąg). Prowadzili go przemili ludzie z wyższych klas, wyznający różne religie, którzy przyjęli nas, wiedźmowe dzieci, pod swoje szerokie skrzydła. Prowadzili wykłady o wszystkim – od pracy z energią, po historię czarodziejstwa. Nareszcie byłam wśród swoich!

Pisałam pracę o historii średniowiecza i dosłownie pochłaniałam wszystko, co mogłam znaleźć na temat herbalistyki i czarodziejstwa. To tutaj spotkały się dwie miłości – moja pierwsza – Wicca – i miłość mojego życia – tradycyjna magia. W starych tekstach na temat procesów czarownic i podręcznikach antropologicznych znalazłam opisy rytuałów, które w mojej wyobraźni przeprowadzali moi irlandzcy, niemieccy i angielscy przodkowie. Dzięki zapoznaniu się z prześladowaniami, jakie stały się ich

udziałem, odnalazłam swoje dziedzictwo. Nie, moi przodkowie nie byli tylko dobrzy, nie byli idealni, ale byli moi. Pod koniec pierwszego roku wiedziałam już, że chcę żyć tak blisko ziemi, jak tylko będzie to możliwe, dostrojona do pór roku. Chciałam wiedzieć, jak za pomocą ziół leczyć choroby i uprawiać własne dynie. Chciałam znać historię ziemi, na której żyłam. To było jak bajka.

Kiedy od przyjaciółki dowiedziałam się o ludziach żyjących w małych społecznościach, wiedziałam, że muszę przyjrzeć się temu bliżej. Odwiedziłam jeden z takich wspólnych domów, mieszczących się na bardzo małej przestrzeni i poczułam dokładnie to samo, co wtedy na wspomnianym parkingu. Jestem ekstrawertyczką, uwielbiam być z innymi ludźmi, być częścią grupy. Chciałam żyć wśród innych, również tańczących na kole roku, uprawiających własne rośliny. W drugiej połowie drugiego roku zapadłam na tajemniczą chorobę. Cały czas byłam zmęczona. Prowadząc samochód prawie zasypiałam. Miałam mgłę mózgową i przerażało mnie to. Próbowałam tłumaczyć lekarzom i pielęgniarkom, co się ze mną dzieje, ale oni tylko dziwnie na mnie patrzyli i mówili mi, że mam ataki paniki. Nigdy w życiu nie czułam się tak smutna i przygnębiona. Może to wydawać się szokujące, ale rozwiązanie swoich problemów znalazłam w historii lat 90. XIX wieku.

Stare praktyki albo pradawne sposoby robienia rzeczy zawsze mnie przyciągały. Nie miałam dobrego kontaktu z moją dalszą rodziną, więc od dawna pragnęłam znaleźć swoje korzenie, dowiedzieć się skąd pochodzę. Chciałam wiedzieć, jak moi przodkowie stawiali czoła światu, zanim straciliśmy starą wiedzę.

Wszystko zaczęło się od tego, że jako dziecko podziwiałam Amiszów. Było tak, dopóki moja mama nie powiedziała mi, czego w tej kulturze wymaga się od kobiet. Jednak na wakacjach, po drugim roku studiów, jako dziewiętnastolatka wylądowałam na

stypendium w małym skansenie – gdzie można było zapoznać się z życiem zwykłych ludzi w XIX wieku – nazwanym Howell Living History Farm. Mieściło się w Lambertville w New Jersey. Zajmowałam się końmi, nosiłam długie bawełniane sukienki i zbierałam smukłe kłosa złotej pszenicy. To był świat, w którym wszystko było na swoim miejscu. Byłam w domu. Po raz pierwszy zbierałam rdzawe jeżyny, czerwone, przypominające kryształy kuzynki znanych nam malin. Doiłam kozy i robiłam sery. uprawiałam warzywa. Ta spokojna, wyidealizowana wersja XIX wieku wydawała mi się być najbogatszą z bajek.

Los chciał, że po raz kolejny znalazłam się w otoczeniu pogan. Dwie kobiety, z którymi dzieliłam dom, także okazały się wiedźmami. Spędzałyśmy wieczory bez dostępu do internetu, robiąc na drutach i słuchając kaset z nagraniami *The Good Life* Helen i Scotta Nearingów przy łagodnym świetle świec. To tutaj po raz pierwszy zabiłam kurczaka i tutaj, w tym małym domku w centrum New Jersey, wypełniłam dokumenty pozwalające mi przenieść się na studia rolnicze w University of Vermont. Miałam zamiar pracować na fermie, uprawiać rośliny i hodować zwierzęta. Chciałam przeżyć w ten sposób każdy następny dzień.

Przyszły moje dwudzieste urodziny. Cały czas byłam chora, ale zdążyłam się już do tego przyzwyczaić. Mieszkałam w Burlington w Vermont i byłam szczęśliwa, żyjąc w ekoanarchistycznej komunie. Świetnie się bawiłam, ale dopadł mnie suchy napadowy kaszel, który nie chciał odpuścić bez względu na to, co robiłam. Cały czas miałam też mgłę mózgową i czułam się zmęczona, jednak ludzkie ciało jest niewyobrażalnie wytrzymałe. W jakiś sposób nauczyłam się z tym żyć. Zastanawiałam się, czy nie cierpię na zespół chronicznego zmęczenia. Pewnego dnia, kiedy było szczególnie źle, poszłam do szkolnej pielęgniarki. Zapytała mnie, czy diagnozowałam się pod kątem mononukleozy.

Popatrzyłam na nią zszokowana. Nikt nigdy nie wziął moich objawów na poważnie. Zrobiła mi badania i, cóż za szok, okazało się, że mam bardzo zaawansowaną mononukleozę. I że cierpię na nią od bardzo dawna. Poprosiła, żebym położyła się na leżance i zbadała palpacyjnie moją wątrobę. Napięcie wisiało w powietrzu. Była podrażniona, co było jasnym znakiem stanu zapalnego. Zazwyczaj mononukleozą przychodzi i odchodzi falami, jednak z jakiegoś powodu mój organizm nie był w stanie jej zwalczyć. Pielęgniarka powiedziała mi, że poza odpoczynkiem, niewiele więcej mogę zrobić.

Nie byłam gotowa na to, żeby zaakceptować, że nic nie mogę zrobić, żeby pozbyć się choroby. Wszędzie szukałam rozwiązania. Wypytywałam moich bosych i odzianych w czerń kompanów. I cały czas zastanawiałam się, jaką drogą jeszcze mogę pójść? Jeden z moich znajomych zasugerował, żebym wsiadła na rower i podjechała do pobliskiego sklepu zielarskiego. Nigdy tego nie zapomnę. Nazywał się Purple Shutter Herbs, a prowadziła go kobieta nazywająca się Laura Brown. W końcu dojechałam, zdyszana i pokryta potem, a ona najpierw dokładnie mnie wypytała i uważnie słuchała opowieści o moich dolegliwościach, a potem poleciła mi tylko trzy zioła. Najwspanialsze było to, że sama poszłam na zaplecze, żeby skompletować swoje zamówienie. To było prawdziwe herbarium, jak ze starych książek. Na każdej z czterech ścian wisiały półki wypełnione setkami słoików, słoiczków i słoików, każdy opisany schludnym, starannym charakterem pisma. Byłam niemal nieprzytomnie zachwycona, odważając sobie tymianek, żywokost i gorzknik kanadyjski, wsypując je do małych torebek i opisując przygotowanym wcześniej długopisem. Sam akt pozyskiwania lekarstw wydawał mi się uzdrawiający.

Dojechałam do domu i przygotowałam zioła tak, jak poleciła mi Laura. Nie miałam pojęcia, czego oczekiwać. Chciałam wierzyć,

że to zadziała, ale potrzebowałam jakiegoś znaku. Po trzech dniach kaszel ustał. Po dwóch tygodniach, po raz pierwszy od roku obudziłam się z nieco jaśniejszą głową. Rozplakałam się. Tak bardzo chciałam nauczyć się tej sztuki. Potrzebowałam tego. Jeśli rośliny mogły pomóc mnie, to znaczy, że mogły też pomagać innym.

Kiedy kończyłam studia, zadzwoniła do mnie moja najlepsza przyjaciółka – Saro. Powiedziała mi, że właśnie urządza się w nowym domu w Asheville w Północnej Karolinie. Ona sama pochodziła z Tennessee. „Pokochasz to miejsce” – powiedziała. Szybko wpisałam nazwę miejscowości w Google. Dowiedziałam się, że mieszkają tam ludzie oddani idei tradycyjnego, prymitywnego życia. Mieli drewniane chaty, ubierali się w skóry i pozyskiwali pożywienie z otaczającej ich ziemi. Na stronie internetowej zobaczyłam zdjęcia ludzi odzianych w jelenie futra, trzymających kosze z pałkami szerokolistnymi i zielonymi liśćmi. Przyzywały mnie do siebie. W okolicy były także trzy szkoły uczące herbalistyki. To wystarczyło. Spakowałam swój dobytek do auta i bez perspektyw na mieszkanie ani pracę ruszyłam w drogę. Po dwunastu godzinach byłam na tarasie Saro.

Zostałam czladniczką. Ludzie o skórze spalonej słońcem, których fotografie widziałam w internecie byli prawdziwi. I uśmiechali się do mnie. Kiedy poznałam Natalie Bogwalker byłam oczarowana. Była moją mistrzynią w 2011 roku i to dzięki niej byłam w stanie z nowo nabytą pewnością siebie nazwać wszystkie drzewa, krzewy i inne rośliny dziko rosnące na każdym skraju mojego nowego domu w Appalachach. Nauczyła mnie, jak rozpałać ogień, wyplatać koszyki, budować domy z bali, oprawiać skóry, gotować dzikie rośliny i rozpoznawać je i przede wszystkim, jak być dobrym słuchaczem. Nadal jest moją przyjaciółką i zawsze pozostanie moją mentorką. To ona pomogła mi postawić pierwsze kroki na drodze do nawiązania miłosnej relacji z roślinami.



I tak to się zaczęło. Później zaczęłam jeździć na spotkania, na których uczono wszelkich umiejętności związanych z ziemią. To było jak wielkie spotkania rodzinne, na których ludzie wymieniali się wszelką wiedzą, jakiej kiedykolwiek możesz potrzebować (i takich, o których nigdy nie myślałeś, że mogą być przydatne). Nauczyłam się, jak zrobić drewnianą łyżkę, tkąć i wyplatać koszyki. Chodziłam też na wszystkie zajęcia z rozpoznawania roślin, jakie tylko mogłam znaleźć. Nauczyłam się nie tylko nazw, ale też sposobów użycia i historii ponad dwóch tysięcy rodzajów roślin, które rosły tuż obok mnie. Zebrałam sporą kolekcję książek o herbalistyce i ludowych praktykach Appalachów. W końcu zapisałam się na Appalachian State University i zdobyłam stopień magistra. Moja praca dotyczyła etnobotaniki, czyli historii tego, w jaki sposób ludzie wykorzystywali rośliny.

W dużym skrócie, taka była moja droga. Dziś, nadal bardzo dużo czytam i biorę udział w zajęciach prowadzonych przez ludzi, których podziwiam. Specjalizuję się w folklorystycznej historii roślin, ich magicznemu i medycznemu wykorzystaniu, a także użyciu ich w kulinariach. Żyję historiami roślin. Jestem bardzo podekscytowana tym, że dziś mogę się nimi z tobą podzielić.